

## Kara za nieposłuszeństwo

„Najładniejszym słówkiem języka angielskiego jest słówko «tariff»” – mówi amerykański prezydent. To oczywiście inteligentna figura retoryczna, która politykowi pozwala oprawić własne obrazoburcze zamiary w otoczkę ciepłej autoironii. O ile czegoś nie przeoczyłem, to od czasu objęcia urzędu Donald Trump straszył już cłami Chiny, Kolumbię, Unię Europejską, Kanadę, Meksyk, Rosję, a prawdę mówiąc – cały świat, gdyż jedna z wersji amerykańskiej polityki handlowej mówi o wprowadzeniu ceł powszechnych.

Jak wiadomo, pomiędzy znawcami zagadnień handlu międzynarodowego istnieje nierozstrzygalny spór co do skutków tak mocnego zerwania z wolnością handlu dla samej Ameryki. Choć mnie – muszę przyznać – przekonuje raczej logika, w myśl której w wielkiej gospodarce, która od lat cierpi na patologiczną nadwyżkę popytu konsumentów nad własnymi zdolnościami wytwórczymi, cła powinny wywołać efekt ożywienia krajowej produkcji i wzrostu dobrobytu (tak argumentuje np. ekonomista Michael Pettis na łamach „Foreign Affairs”). Tak czy owak, w kwestii ceł jedna rzecz jest kluczowa i bezsporna: zapowiedzi wprowadzenia amerykańskich ceł wobec jakiegoś kraju wszędzie, chyba tylko poza Chinami, budzą popłoch i zamęt. W Kanadzie upadł z tego powodu rząd, Kolumbia z godziny na godzinę zmieniała swoją politykę deportacyjną, Meksyk spełnia kolejne żądania graniczne potężnego sąsiada, a Europa składa wszelkie możliwe obietnice gospodarcze, byleby tylko uniknąć taryfowego gniewu Trumpa. Nawet Moskwa, którą polityka amerykańska

nadmiernie ostatnio rozzuchwiała, nabrała nagle pokorniejszego tonu na temat wojny, gdy usłyszała od amerykańskiego prezydenta, iż zastanawia się on nad nałożeniem „sankcji bankowych i celnych na wielką skalę”, gdyż nie podoba mu się nasilenie rosyjskich nalotów na ukraińskie miasta po wszczęciu rozmów pokojowych.

### **Przeczytaj również: Marek A. Cichocki – kluczowa dla Polski jest zdolność budowania relacji z USA**

Co ważne, w nowej doktrynie politycznej Ameryki cła nie są tylko zwykłym narzędziem presji ekonomicznej. Oczywiście, nadal aktualne jest pierwotne ich uzasadnienie, o którym szeroko rozprawiali Republikanie jeszcze w toku kampanii wyborczej – czyli coraz bardziej ryzykowna dla Ameryki nierównowaga i dług w stosunkach handlowych. Ale myliłby się ktoś, kto chciałby nadal do kwestii ceł przykładać tradycyjną miarę dysput i sporów prowadzonych na zebraniach WTO, naradach gubernatorów banków centralnych, albo w uniwersyteckich katedrach ekonomii. Nieoczywiste mechanizmy działania ceł musi dziś znać i rozumieć każdy, kto bez uprawiania hochsztaplerki zamierza analizować globalne stosunki międzynarodowe. Groźba zaprowadzenia ceł ma stać się bowiem teraz pierwszym i podstawowym narzędziem, przy pomocy którego najsilniejsze mocarstwo świata będzie prowadzić swoją politykę zagraniczną. Mówiąc wprost: cła mają odtąd być podstawową karą za nieposłuszeństwo wobec Ameryki, przy czym materia owego nieposłuszeństwa ma tu znaczenie drugorzędne. Jak już widzieliśmy, żądania poparte groźbą ceł, i to rosnących z tygodnia na tydzień, w miarę trwania jakiegoś kraju w nieposłuszeństwie, mogą dotyczyć traktowania karteli narkotykowych, migracji, wolności słowa i religii, a nawet wojny i pokoju. Cła stały się międzynarodową polityką *tout court*, czego – jak mi się zdaje – nie zrozumieli jeszcze liderzy

europcy, zakładajcy, iŝ wszystko nadal rozegra się na poziomie negocjacji handlowych, w których Ameryce trzeba złoŝyć korzystną ofertę. Tymczasem to daleko za mało, aby Trump przyjął cię na powrót do grona zaufanych sojuszników, którym cła nie będą juŝ zagraŝać.

Jest jeszcze druga, ostrzejsza kara, jaka moŝe zostać zastosowana za nieposłuszeństwo wobec Ameryki. Jest nią uderzenie w bezpieczeŝstwo nieposłusznego kraju. Groŝba bezpośredniego odwołania się do amerykańskiej potęgi wojskowej stosowana jest bardziej selektywnie, co zrozumiałe, zwaŝywszy na solenną obietnicę Trumpa złożoną w kampanii wyborczej: zaprowadzenie globalnego pokoju. Ale w ostatecznym rachunku jedno nie wyklucza przecieŝ drugiego; mówi o tym hasło republikańskiej kampanii wyborczej, zaczerpnięte jeszcze z cesarza Hadriana: „Peace Through Strength”. Uŝyciem siły zbrojnej zagroŝono dotąd wprost Palestynie i Iranowi, a Ukraina padła ofiarą celowego osłabienia jej bezpieczeŝstwa w toku prowadzonej przez nią wojny. Nie tak dawno moŝna było zaobserwować konsternację czołowych europejskich analityków politycznych, gdy amerykański prezydent, zapytany przez dziennikarza, czy wyklucza uŝycie siły militarnej dla uzyskania Grenlandii i Kanału Panamskiego, bez chwili wahania odparł: „Niczego nie wykluczam”. To przecieŝ oczywiste, ŝe ci, którzy mają być posłuszni Ameryce z obawy przed karą, nie mogą zostać z góry powiadomieni, jaka kara moŝe im grozić. Niepewność była i nadal pozostaje jednym z najwaŝniejszych narzędzi w stosunkach międzypaństwowych, odkąd te stosunki istnieją. W tym sensie nerwowe narzekanie na utratę pewności, albo lament nad tzw. „brakiem stabilności” – to zachowania irracjonalne, gdyŝ biorące się z niezrozumienia klasycznej metody uprawiania polityki, do której wprost odwołuje się prezydent USA.

**Jan Rokita „Rodzinna Eurameryka” - felieton**

Kluczowe pytanie dotyczy amerykańskiej racjonalizacji kary za nieposłuszeństwo: czy chodzi raczej o retribucję, czy też o prewencję? Polityczna doniosłość tego pytania jest oczywista, idzie w nim bowiem o to, jak będzie wyglądać świat po czterech latach takiej amerykańskiej polityki. To samo pytanie można postawić bardziej obrazowo: czy Trump widzi Amerykę niczym Romeę Cezara, która w imię imperialnej sprawiedliwości domaga się odpłaty wobec wszystkich nieposłusznych, z realnym użyciem swej potęgi gospodarczej, a w razie czego również wojskowej? Czy też przeciwnie – prezydent traktuje Amerykę raczej jako potężniejszą wersję holdingu „The Trump Organization”, który musi na dobre przstraszyć kontrahentów, aby byli gotowi zawierać korzystne dlań „deale”? Rozpowszechnione przekonanie o merkantylnej naturze systemu Trumpa wskazywałoby na drugi model stosunków preferowanych obecnie przez Amerykę. A potwierdzałoby to również prowadzona w ciągu ostatniego miesiąca gra Trumpa z kolejnym już „odraczaniem” ceł na Meksyk czy Kanadę, po to by władzom tych krajów dać szansę na wykazanie się jeszcze większą niżli dotąd uległością wobec amerykańskich żądań. Jednak z drugiej strony, wątpliwość w tej materii budzić muszą świeże przypadki Ukrainy, wobec której kara za nieposłuszeństwo została już faktycznie wdrożona, i to z przerażającym skutkiem, jakim jest osłabienie zdolności obronnych kraju rozpaczliwie broniącego się przed inwazją. Mamy zatem dwie możliwości interpretacyjne tego drastycznego przypadku. Pierwszą – że (jak przekonuje np. polski prezydent) to wszystko nadal są brutalne środki mające zmusić Kijów do uległości względem USA i przyjęcia roli swoistego „państwa mandatowego” pod amerykańskim zwierzchnictwem, albo prościej mówiąc – amerykańskiej półkolonii. Jakby to źle nie brzmiało, to w dzisiejszych okolicznościach byłby to zarówno ratunek dla Ukraińców, jak i szansa na głębszy oddech dla krajów potencjalnie frontowych, takich jak

Polska. I mamy możliwość drugą – że wobec Ukrainy ma zostać zastosowana kara w istocie retribucyjna za to, że nie tylko ośmieliła się przeciwstawić forsowanej przez Amerykę idei bezwarunkowego zawieszenia broni, ale – co chyba istotniejsze – już dawno temu, trochę nieuważnie, krok po kroku, dała się „spakietować”, jako segment antytrumpistowskiego frontu liderów unijnej Europy i amerykańskiej lewicy. Rzecz jasna – niepewność będzie towarzyszyć temu rozstrzygnięciu aż do czasu, gdy ostatecznie się ono dokona. A będzie to rozstrzygnięcie decydujące nie tylko dla całej polityki amerykańskiej, ale i dla politycznej przyszłości Europy.

W każdym razie ten nowy przypływ amerykańskiego imperializmu jest jak najdalszy od dobrze znanych ciągłotek tradycyjnych republikanów do izolacjonistycznego traktowania swego kraju, jako jakiejś odmiany odciętych od świata Wysp Szczęśliwych. Trump jest po prostu imperialistą amerykańskim i w tym sensie kontynuuje mocarstwowe dzieło Wilsona, Roosevelta, czy Reagana. Setki, albo i tysiące tekstów oraz analiz, jakie napisano na temat odwrócenia się Ameryki od świata, o ile rządy objąłby Trump, miały – jak teraz widać – niewiele wspólnego z rzeczywistością. Może tylko tyle, że faktycznie, marzenie o Wyspach Szczęśliwych jest obecne wśród religijnych radykałów ruchu MAGA. Ten imperialny model stosunków międzynarodowych, forsowany w praktyce przez USA, został trafnie określony przez Janisa Warufakisa – niegdysiejszego lewicowego ministra finansów Grecji, a przy tym ciekawego analityka – modelem „piasty i szprych”. Nie może być w nim miejsca na żadną dyplomację ponadnarodową; zaplecenie każdej szprychy do piasty jest rzeczą oddzielną, a praca żadnej ze szprych nie determinuje pracy innej. Zdaje się, że zrozumiała to już Ursula von der Leyen, która musiała porzucić własne wyobrażenia o osobistych negocjacjach z Trumpem w roli „Mrs. Europe”, jaką starała się odgrywać wobec poprzedniego prezydenta USA. Ten nowy model niesie

jednak egzystencjalną odmianę sytuacji każdego spośród sojuszników Ameryki: odtąd każdy na własną rękę musi mieć pomysł na korzystny dla siebie „deal” z Trumpem. No i jeszcze liczyć się z tym, że w razie nieposłuszeństwa któryś z dworaków Trumpa bluźnie w sieci stekiem pogardliwych obelg, na które nie ma żadnej politycznie sensownej reakcji. A zaraz potem mogą pojawić się zapowiedzi kary.

*Jan Rokita*

fot. *Alex Kuhn / ArtService / Forum*

**Jan Rokita – felietony „Z podbieszczadzkiej wsi” – pełna lista**